Zielone Świątki

A któż to przystroił
przyzbę mojej chaty
w gałązki brzeziny,
w czeremchowe kwiaty?
A któż to tatarak
zatknął za obrazkiem —
i posypał dróżkę
złociusieńkim piaskiem?!.
— Toż to nie kto obcy
przybrał te podwoje,
jeno moi chłopcy
i dziewczątka moje:
Umaili kwieciem
każdziutki zakątek,
aby uczcić przecie
dzień Zielonych Świątek!
Aby uczcić godnie
I — przy Święcie takiem,
by pachniało wszędy
wonnym tatarakiem!

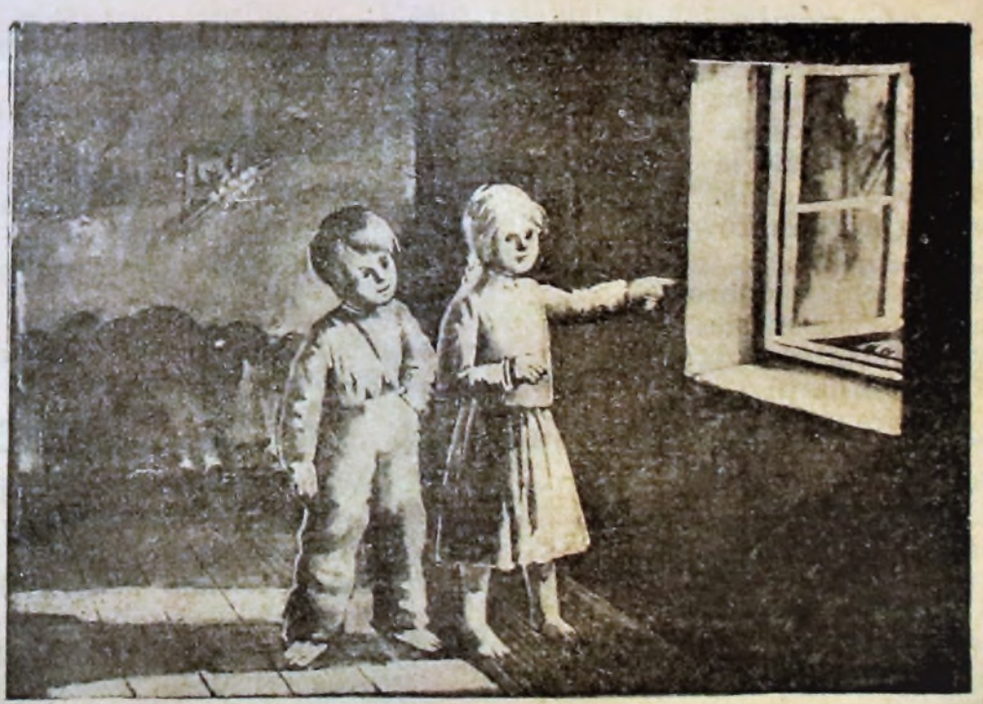

Nasze wierszyki

Bratek

Skromny, jak dziecię,
główkę przechyla,
płatki, jak skrzydła
lśnią u motyla.
Główka przy główce,
wierny i stały,
symbol przyjaźni
ten bratek mały!
Barwami tęczy
bratek się wdzięczy.
Jest ich tysiące
na polu, łące.
Brat z bratem w zgodzie,
w kwietnym ogrodzie,
a choć nie rosną
bujnie, wysoko,
wśród traw kobierca
dojrzy je oko.
Jak barwny motyl
wśród traw się mieni
aksamit płatków
tęczą lśni,
uśmiechem szczęścia
zda się dla ziemi,
choć z serca roni łzy!

Goście

Sroczka skrzecze na płocie,
jadą do nas goście,
kareta cała w złocie
toczy się po moście.
Grają, grają grajkowie
po polu, po lesie,
echo dzwoni w dąbrowie,
wiatr muzykę niesie.
Wyjrzyj, córuś, z za chaty,
kto to jest na przedzie?
— To ubrany w bzów kwiaty
królewicz Maj jedzie.
— Córuś moja, gdzież goście
Nie widać ni śladu. —
— Przejechali po moście
do naszego sadu.
Już, matusiu, po sadzie
Maj królewicz chodzi,
wianki jabłonkom kładzie
i słoneczko wodzi.

Szkolna grządka

Halusia dostała w szkole
własny kawałeczek pola.
Nikomu pola nie odda,
choć na niem sama lebioda.
Nikomu tej grządki nie da,
posieje na niej rezedę.

Wicek i Wacek

Jeden konik, dwa fircyki,
Bieganina, rwetes, krzyki:
Ja pojadę, ja pojadę,
Już ja dam koniowi radę -
Wio!!!
Ja pojadę, ja pojadę!
Siwek patrzy na tę zwadę:
Ja was tu do zgody zmuszę,
Na krok z miejsca się nie ruszę!
I ha — ha!!!
Jeden konik. dwa chłoptasy
Rety, gwałtu, co za czasy:
Wynoś mi się ja pojadę,
Już ja dam koniowi radę —
Wio!!!
Siwek nic, jakby wrósł w ziemię,
Chociaż w boki bije strzemię:
Nie pojadę do olszyny
Aż nastąpią przeprosiny —
I ha — ha!!!
Zgoda, zgoda, Wacek jedzie
Wicek zboku konia wiedzie,
Obaj mają kwaśne miny,
Ciężkie były przeprosiny.
Ha — ha — ha!!

W mojej wiosce

W mojej wiosce zwyczaj taki,
że gdy przyjdzie wonny maj —
i dziewczęta i chłopaki
znoszą kwiaty z wszystkich staj,
aby każdy w zmierzchu porze
w ziół tych pęki przybrać mógł
próg tej Męki, Stopy Boże,
na rozstaju polnych dróg!...

W ogniu, popiele i wyziewach wulkanów

Największa w dziejach świata katastrofa w Ameryce Południowej.

W połowie kwietnia Południowa Ameryka przeżyła straszną, największą w dziejach świata, katastrofę, która dotknęła aż cztery państwa: Chili, Argentynę, Urugwaj i Brazylję.

W niedzielę, 10 kwietnia, osiem wulkanów w górach Kordyljerach buchnęło ogniem, mimo, że niektóre z nich uważane były oddawna za nieczynne. Na wielką wysokość trysnęła lawa, poczęły lecieć ogromne rozpalone skały, ważące po kilka tonn, rozpadające się z przeraźliwym hukiem w powietrzu, z kraterów w gęstych kłębach wydobywać się zaczęły gęste chmury popiołów i gazów wulkanicznych, w których najwięcej jest trującej siarki.

Jednocześnie rozgrzmiały przerażające huki i ziemia się zatrzęsła, obalając domy w licznych wsiach, osadach i miasteczkach, leżących u stóp Kordyljerów. Przerażeni mieszkańcy, zostawiając wszystko, rzucili się do ucieczki. Okropne wybuchy nie ustawały. Ludzie uciekali w kłębach gryzących gazów, zasypywani popiołem, który w przeciągu krótkiego czasu pokrył ziemię w niektórych okolicach na wysokość jednego metra.

Spójrzcie na mapkę! Macie tam zaznaczone największe wulkany: Descabezado, Grando, Tinguiricia i Las Yegeas. Od tych wulkanów na wschód chmury popiołów i gazów zasypały na całą szerokość Amerykę Południową, a więc Argentynę, Urugwaj i południową część Brazylji. Na republikę Chili spłynęły zaś potoki płonącej lawy; popioły i gazy mniej ją zniszczyły.

Ze stolicy Argentyny, Buenos Aires, natychmiast wyleciały samoloty, by ogarnąć bezmiar zniszczenia i dać znać, dokąd kierować ekspedycje ratunkowe. Początkowo samoloty musiały zawrócić, nie mogąc przedostać się przez chmury popiołów i trujących wyziewów siarkowych. Dopiero po kilkunastu godzinach udało się odważniejszym przebić się bliżej w okolice zniszczone. Po powrocie lotnicy odmalowali straszny obraz spustoszenia. Wielkie tereny zostały zamienione w pustynię, pokrytą szaro-czerwonym nalotem popiołów i żwirem wulkanicznym, w którym grzęzły wozy i samochody uciekających. Po brzegach dróg i szos leżą trupy ludzi i zwierząt. Ludzie i zwierzęta błąkają się, zatruci gazami, głodni i spragnieni, gdyż gazy siarkowe zatruły wody. Roślinność doszczętnie zniszczona. Miasta położone bliżej wulkanów wyludnione zupełnie. Wiele domów w gruzach.

Na pomoc nieszczęśliwym wyruszyły pociągi. Niestety, nie mogły zajechać daleko, gdyż ugrzęzły w żwirze, zalegającym tory powyżej pół metra.

Niepokój też panował wielki w Buenos Aires i w Montewideo. Kiedy wiatry przyniosły chmury gazów i popiołów, niebo przybrało przerażająco czerwony kolor. Wkrótce na miasta sypać się począł popiół, pokrywając wszystko jakby śniegiem. Powietrze stało się duszne. Ludzie cierpieli na dotkliwy kaszel i ból głowy. Gruba warstwa popiołu uniemożliwała ruch na ulicach.

Wreszcie deszcz popiołowy ustał. Pokrył on obszar przeszło 2 miljonów kilometrów kw.! (a więc przeszło pięć razy większy, niż Polska). Na szczęście spadły deszcze i oczyściły powietrze z pyłu i z gazów.

Chmury popiołu unoszą się jeszcze w powietrzu i przesuwają się z wiatrami na wschód. Dotrą one prawdopodobnie i do Europy. Według zdania meteorologów (badających atmosferę ziemi) — może to mieć duży wpływ na pogodę na całym świecie. Wielkie ilości pyłu w atmosferze osłabią promienie słoneczne, należy się więc spodziewać chłodnego lata.

Amerykańscy geologowe (uczeni, badający skorupę ziemi) twierdzą, że należy się spodziewać w Ameryce Południowej dalszych wstrząsów ziemi i wybuchów wulkanów.

Zielone Świątki

Przybraliśmy nasze chaty zielenią,
Z wiarą Jego przyjścia czekamy.
Wszak się serca i dusze odmienią,
Gdy wejdzie w domostw bramy.
Przybraliśmy nasze serca nadzieją
I na cudu czekamy godzinę.
Pola zbożne zielenią się i chwieją.
Szepczą słodko radosną nowinę.
Dzwony nawet umilkły w kościele
I śpiew ptaków tak nagle ucięty!
Ziemia kornie zielenią się ściele:
O zleć ku nam, zleć, Gołąbku Święty!!!

Czarodziejska

(Dokońc

Zaś Zochna z mamusią zamieszkały w mieście w dwóch małych pokoikach i wraz z nieodłączną Michalsią rozpoczęły nowe życie, jakże szare i smutne w porównaniu z pełnem radości życiem na wsi! Mamusia wychodziła z rana do pracy i wracała o zmierzchu, a Zochna po całych dniach siadywała przy okienku, z którego rozstaczał się widok na rozległe dachy. W dole widać było kawałek ogródka, w którym wieczorami rozlegała się brzęcząca muzyka.

W niedzielę szły do ogrodu miejskiego i tam, usiadłszy na ławce, przysłuchiwały się szumowi drzew, w których zrzadka zaśpiewał ptak, wypłoszony zresztą rychło niedzielnym gwarem i tłumem. To wszystko jednak było „nie to". Zochna wracała smutna do domu i nie chciała więcej chodzić do miejskiego ogrodu.

Zaś na wsi krasnoludek tęsknił za Zochną coraz bardziej. Wkońcu nie mógł sobie dać rady bez małej przyjaciółki. Ponieważ był sprytnym, dowiedział się dokładnie z rozmów pozostałych na wsi domowników, dokąd wyjechały Zochna z mamusią i pewnej bladej, księżycowej nocy przytwierdził do kija swój domek i, wlokąc go za sobą, wybrał się do miasta, w którem dziewczynka mieszkała. Postanowił pocieszyć ją w zmartwieniu i oddać przynajmniej śliczną zabawkę, pamiętającą lepsze czasy.

Długa i uciążliwa to była wędrówka, bo chociaż miasto znajdowało się niedaleko, małe nóżki krasnoludka wędrowały bardzo powoli. W dodatku żaden ptak nie chciał go zabrać na grzbiet razem z polewaczką, więc, to przysiadając się niewidzialny na wóz którego z wieśniaków, to drepcąc nocami nieumęcznie, dobrnął wreszcie do miasta. Zamieszkał w ogródku niedaleko Zochny. Nędzne to było mieszkanie. Chude drzewa nie dawały prawie cienia, grunt był szary i suchy, zieleniły się tylko mocniej trawniki, polewane obficie przez stróża. Ptaków prawie nie było. Czasem zabłąkał się w te strony żółty motyl i, popatrzywszy ze zdziwieniem na krasnoludka, mijał go bez słowa, sam zajęty myślą, aby jak najprędzej zmienić niemiłe miejskie mieszkanie.

Wkońcu upatrzył krasnoludek stosowną chwilę, gdy mógł Zochnę zastać samą. Dziewczynka siedziała, jak zwykle, przy oknie, wpatrzona żałośnie w jasne, wiosenne niebo. Tam, na wsi na pewno kwitnią już pierwiosnki, a może i fiołki, pączki się rozwijają, trawki wychodzą z ziemi, a jej kwiatki, jej biedne kwiatki... i tu Zochnie łzy stanęły oczach, zawstydziła się jednak Przecież ona jest już dużą, rozumną dziewczynką i nie powinna się smucić, tylko starać się uprzyjemniać życie tak bardzo nieraz zmęczonej i zrozpaczonej mamusi.

Spuściła główkę i nagle oniemiała. Zdawało się jej, że śni. Przed nią stał, uśmiechając się przyjaźnie, krasnoludek z ogrodu na wsi, zaś przy nim — polewaczka! Jej polewaczka, która mu kiedyś darowała. Zochna ze zdumieniem usiadła, zaś krasnoludek odezwał się:

— Weź, Zochno, twą zabawkę; myślałem, że ci zrobię przyjemność, gdy ci ją oddam, niech ci służy. — Poczem ukrył się tak nagle, że dziewczynka odnaleźć go nie mogła, aby mu podziękować za jego dobroć. Z ukrycia widział jednak, jak Zochna wzięła zabawkę, oglądała ja na wszystkie strony, cieszyła się nią, całowała i obejmowała. Teraz już ani trochę się nie matrwił, że pozbył się ślicznego domku.

Zochna zaś ze wzruszeniem napełniła

Uszczęśliwiony krasnolu

polewaczka

iczenie)

polewaczkę wodą i polała doniczkę z mizerną prymulką, która napróżno wykręcała się ku słońcu, chcąc złowić parę promieni w ciemnem mieszkaniu. I oto stała się rzecz dziwna! Prymulka wyrosła nagle tak pięknie, że Zochna podobnie cudnego kwiatu jeszcze nie widziała. Dziewczynka szeroko otworzyła oczy ze zdumienia i zachwytu.

Niemniej zdumiony był krasnoludek! Sam się nie spodziewał takich własności polewaczki.

Zochna zaśmiała się radośnie i, polawszy następną doniczkę z przygotowaną w niej ziemią do kwiatów, powiedziała:

— Mój Boże, jakżebym chciała, żeby tu wyrosła piękna róża!

I oto nagle oczom jej ukazał się przecudny krzew różany, osypany purpurowem kwieciem.

Krasnoludek w swem ukryciu nie posiadał się z radości. Zrozumiał nagle, że to jego łzy zaczarowane, które wylał za

ludek usiadł na polewaczce

Zochną, zamieniły skromną zabawkę w dar czarodziejski. Jakże hojnie odpłacił drogiemu dziecku za jego dobre serduszko!

Nie mogę opisać, jak się cieszyły Zochna i mamusia z czarodziejskiej polewaczki. Miały teraz mnóstwo kwiatów w mieszkaniu. Później przyszło im na myśl, żeby założyć sklep z kwiatami. Tak też uczyniły. Kupujący schodzili się do nich z najdalszych okolic, gdyż nikt nie miał kwiatów tak pięknych.

Zochna z mamusią składały pracowicie uzbierane w sklepie pieniądze i oto przyszła wreszcie dziwna i cudowna chwila, gdy, obliczywszy swe oszczędności, ujrzały, że starczy im na odkupienie ukochanego domu z ogrodem, z którego los okrutny wygnał je przed paru laty.

*

I przyszła chwila jeszcze piękniejsza, gdy Zochna z mamusią i Michalsią wjeżdżały we wrota najdroższego domu, gdzie zmieniło się niewiele. Słodka, cudna przeszłość wyjrzała do nich z ukochanych kątów i zamieniła się w promienną teraźniejszość.

Stary Antoni witał je, ocierając łzy radości, zaś mamusia z Zochną i Michalsią chodziły jak we śnie, nie mogąc przemówić słowa ze wzruszenia i szczęścia!

Krasnoludek zaś cieszył się tak, że skakał z radości, jak mała czerwona piłeczka. Mamusia myślała, że to barwny motyl buja w trawie, zaś Zochna wiedziała, że to jej mały kochany krasnoludek, który przyjechał z niemi niewidzialny, cieszy się jej radością. Ale nie powiedziała o tem nikomu...

Wakacje!

Wakacje! Wakacje!
Miesięcy aż dwa!

W swobodzie, beztrosko,
Po drogach za wioską,
Gdzie kwitną akacje,
Śpiewajmy: Hu! ha!

Swe wątłe ramiona
Sprężymy jak łuk!
Wśród barwnych wstęg zboża,
Piosenka serc hoża,
Popłynie natchniona
Do nieba, gdzie Bóg!

Przygoda młodego jeńca — Polaka w obozie tureckim

Bardzo już dawno temu biły się pod Warną wojska tureckie z wojskiem polskiem i węgierskiem. Turcy nie wierzą w prawdziwego Boga i są muzułmanami. Polacy zaś i Węgrzy, jako dobrzy chrześcijanie i katolicy, zacięcie walczyli przedewszystkiem w obronie swej świętej wiary.

Bitwa pod Warną nieszczęśliwie się skończyła, bo wojska tureckie odniosły zwycięstwo. Po bitwie żołdactwo tureckie przyprowadziło swemu władcy, czyli sułtanowi, gromadę jeńców, wśród których znalazł się też mały chłopczyk, który tak swego ojca kochał, że razem z nim na wojnę poszedł. Ojciec jego zginął, chłopiec zaś tak był wymizerowany, zmęczony i głodny, że ledwo się na nogach mógł utrzymać. Ładny to był chłopiec, z bujną jasną czuprynką i wielkiemi, niewinnemi oczami. Spodobał się bardzo sułtanowi, który postanowił zabrać go sobie na własność.

Pogłaskał chłopca po głowie i spytał czy nie chciałby zjeść co dobrego.

— O! proszę! zjem chętnie — odpowiedział chłopczyk — bom bardzo głodny!

— Wezmę cię z sobą i wychowam jak syna — ciągnął dalej sułtan. — Dostaniesz piękne suknie, konia z rzędem, szablę złotem nabijaną i na niczem zbywać ci nie będzie!

Chłopiec był sierotą zupełnym, bo i matkę już był stracił, więc się ucieszył, że mu tak dobrze dziać się będzie.

Sułtan zaś mówił dalej:

— A przytem zrobię z ciebie dobrego syna proroka.

— Co to znaczy? — spytał chłopiec.

— To znaczy, że przyjmiesz naszą wiarę. Jest to warunek konieczny. Jeśli się zgodzisz, mieć będziesz wszystko, jeśli nie, każę natychmiast zrąbać ci głowę z karku.

To mówiąc klasnął w dłonie, a natychmiast w drzwiach bogatego namiotu ukazały się dwie ogromne postacie z wielkiemi, ciężkiemi szabliskami w ręku.

Nie uląkł się ich chłopczyk, lecz śmiało w oczy patrząc sułtanowi, wyrzekł:

— Choćbyś mi, panie, złote góry przyrzekał, albo najokropniejszą śmiercią groził, to ja nigdy mojej świętej katolickiej wiary się nie wyrzeknę.

— W takim razie giń! — wykrzyknął sułtan, a na jego znak jeden z żołnierzy ciężką, zakrzywioną szablę wzniósł nad głową chłopca. Ten też oczy zamknął, ręce złożył do modlitwy i głośno zawołał:

— Umrę chętnie za moją wiarę! Chrześcijaninem jestem! Boże! W Twoje ręce oddaję moją duszę!

Lecz co to?... Jakoś szabla na głowę nie spada?!

Oto sułtan, zdumiony silną i głęboką wiarą chłopca i jego bohaterską odwagą, życie mu darował i do rodzinnego kraju odesłał.

To jest, drogie dzieci, Wiara prawdziwa. Taka wiara jest cnotą, jest szczęściem, ale jest też i łaską, którą otrzymujemy od Boga. Wiara jest naszym najcenniejszym skarbem. Jednak musimy zawsze gorąco prosić Pana Boga, abyśmy tę wiarę zachowali i aby nam jej nic w życiu nigdy nie zabrało!

* * *

Uśmiechnęło się słoneczko,
zabrzmiał pieśnią gaj!
Witaj, witaj, jaskółeczko;
graj perliście ligaweczko,
boć zawitał maj — kochanie,
do ojczystych staj!...
Witaj, maju, me kochanie,
wśród tych naszych staj!...
ześlij uśmiech szczęścia na nie,
odrodzenie, zmartwychwstanie!
Czego, Boże, daj — doczekać,
czego wszystkim daj!...

* * *

A kiedy maj
obejmie straż
nad ziemią
w zórz powodzi,
z niebiańskich staj
na podół nasz
Panienka Boża
schodzi, —
by u tych miedz
wioskowych, han,
u kaplic tych
przydrożnych
serc ludzkich strzec,
wysłuchać łkań
i szeptów tych
nabożnych!

Rozmaitości

Bez

Bronek przyniósł do szkoły bukiet przepięknego bzu.

W całej klasie powstał niesłychany hałas. Wszyscy pchali się do Bronka, żeby ten bez powąchać, wszyscy krzyczeli i dopytywali się, skąd go ma.

— Skąd? Ma się rozumieć z ogrodu. Już sobie wczoraj upatrzyłem. Myślę, taki śliczny, to się pani ucieszy! A dziś rano przelazłem przez sztachety i już!

— Mogli cię złapać! — przestraszyła się Staszka.

Ale chłopcy ją wyśmieli. Bronka złapać, kiedy on ma najdłuższe nogi w całej klasie!

— A nie pomyślałeś, Bronku, że ten bez jest cudzą własnością? — rozległ się od progu spokojny głos pani.

Wszyscy się obejrzeli i jakoś dziwnie ucichło. Bronek zaczerwienił się, jak burak, ale próbował się bronić:

— Przecież to kwiat... Samo wyrosło...

— Tylko pokrzywa i chwast „same" rosną. Kwiat potrzebuje starań ludzkich i kosztów. Jest owocem czyjejś pracy, dlatego jest czyjąś własnością, choć nie wszyscy dobrze to rozumieją. Ty sam uważałeś, czy cię ktoś nie zobaczy przy łamaniu bzu. Dlaczego?

— Bo... bo... ludzie są... tacy... — plątał się Bronek.

— Zazdrośni... Skąpi! — odezwały się tu i owdzie głosy.

— A jakbyś ty miał ogród, pozwoliłbyś każdemu rwać kwiaty i łamać gałęzie? — zapytała pani.

Na to nikt jakoś nie mógł odpowiedzić. Wtedy pani zaczęła opowiadać o bzie. Jak się go sadzi i pielęgnuje. Jak trzeba umiejętnie obcinać. Potem o innych kwiatach. Jaka to radość, gdy się przyjmą i udadzą. Pani ślicznie umie opowiadać. Wreszcie na końcu uśmiechnęła się do dzieci i mówi:

— A teraz radźmy, jak tę dzisiejszą historję z bzem naprawić.

Więc radzili całą klasą, aż uradzili. Co? To zgadnijcie, kochani cztelnicy.

Najjaśniejsze w świecie miasto.

Najjaśniejszem bez wątpienia miastem w świecie jest Kiruna na dalekiej północy Szwecji, która przez całe pół roku nie widzi słońca, a jednak panuje tam nieustanny ciągły dzień. Niema tam różnicy między południem i północą i zwykłe życie toczy się bez przerwy przez cały czas.

Ten „cud natury" zawdzięcza Kiruna położonej opodal górze magneto-żelaznej Kirunavata, która posiada 70 proc. żelaza, a przeto jest źródłem niewyczepanem elektryczności.

Kopalnie zalały światłem miasto i całą okolicę, tak, że jasno jest tam wszędzie i zawsze, jak we dnie.

Domki górnicze są zbudowane i urządzone według najnowszych wymagań, wszystko budując na elektryczności, a przedewszystkiem światło i kuchnie.

Ze Stokholmu bezpośredni pociąg pośpieszny przybywa do Kiruna w ciągu 48 godzin.

O małym Duszku

Mały Duszek w tęczowej sukience
z chmurki sfrunął na ogrodu drzewa.
Wiatr go porwał za maleńkie ręce,
z małym Duszkiem bawi się i śpiewa.
Z małym Duszkiem bawi się i śpiewa,
kozły fika, figle płata, psoty.
Za czub ciągnie najwyższe drzewa,
płatki kwiatów rozwiewa z pustoty.
Wkońcu Duszek, zabawą zmęczony,
śliczną główkę uśpioną pochyla,
wiatr ucieka w dalekie gdzieś strony,
słychać szmery skrzydełek motyla.
Taka cisza... Już wietrzyk nie śpiewa.
Śpi ogrodu Duszek ukochany.
Cicho stoją zadumane drzewa.
Bozkwitają cichutko kasztany.

Brzeg morza

Adres „Krasnoludków": Redakcja „Nasze Życie", Riga — Dzirnavu 57. „Krasnoludki"
Drukarnia „RITI", Rigā, Dzirnavu ielā Nr. 57.